

PORZĄDKOWANIE NAZW MIEJSCOWYCH

Powrót na Ziemię Odzyskaną zmusił nas do rozwiązania mnóstwa ciężkich problemów, żeby tylko wymienić wysiedlenie Niemców a osadzenie Polaków, odbudowę zniszczonego przemysłu, miast i wsi, obsianie pól, podczas gdy brakowało ludzi, sił pociągowych i ziarna. Rzecz dziwna, że przy tym wszystkim mieliśmy jeszcze dość sił na tak namiętne przejmowanie się nieporządkami w nazwach miejscowych, ba, nawet ta sprawa w końcu życiowo drugorzędna zasłoniła niejedną ważniejszą. W walkach o nazwy przelano morze atramentu i farby drukarskiej. Przez prasę różnych typów i stopni przewalila się, a w związku z wakacyjnymi wyjazdami jeszcze się przewalała fala artykułów. Zabierający głos rzadko jednak zdają sobie sprawę z całej zawilóści problemu i wszystkich jego aspektów, uzurpując sobie prawo do rozcinania wszelkich trudności jednym pociągnięciem pióra bez oglądania się na rację drugich. Tymczasem i tutaj fachowość ma więcej do powiedzenia niż zapal. W niniejszym artykule chciałbym omówić wszystkie ważniejsze strony naszego zagadnienia.

Trzeba zacząć *ab ovo* a więc od tego, co było wiosną 1945 roku. Przypomnijmy sobie owe tygodnie, gdy za frontem krok w krok postępowała administracja polska. Zastawała ogromne zniszczenia, wyludnione wsie a nawet miasta, nie istniała żadna komunikacja prócz wojskowej; trzeba było dopiero zorganizować kolejnictwo, pocztę, telegraf, telefon. Grupy organizacyjne były przygotowywane w Lublinie, gdzie przecież dysponowało się małym wyborem ludzi, a wobec wojennego przemieszania ludności nie wiadomo było, gdzie szukać ludzi przygotowanych do nowych zadań; nie wiadomo było, czy w ogóle żyją. Z powodu zniszczenia bibliotek, archiwów, planów przygotowanych podczas okupacji, a zwłaszcza wskutek zniszczenia takiego potężnego centrum naszego życia, jakim była Warszawa, nie można było grup operacyjnych zaopatrzyć w niezbędne druki informacyjne. Nie tylko więc do akcji wchodziłi ludzie nowi, ale w dodatku byli oni zmuszeni do działania w wielu razach na domysł, na ślepo.

Jednym z problemów były nazwy miejscowe. Zastano ich dziesiątki tysięcy! Przeważnie wyczuwało się pod nimi zasadniczy podkład polski, jakkolwiek bardzo zasłonięty chrztami niemieckimi, które masowo przeprowadzał reżim hitlerowski. Wyjściem najprostszym było niewątpliwie pozostawienie niemieckich do czasu, aż będzie spokój, ludzie i środki potrzebne do systematycznego i solidnego opracowania polskiego nazewnictwa. Wiem, że byli wyznawcy i takiego rozwiązania sprawy, ale było ich niesłychanie mało, zwłaszcza wśród tych zapaleńców, co szli w pierwszej linii. Wydawało im się, że byłoby czymś ubliżającym godności Polaka, aby choć na krótko — a jak teraz widzimy na dość długo — pozostawić nazwy niemieckie, gdy się przecież przychodzi na swoje. A więc spontanicznie, bez umowy zapadła wszędzie, we wszystkich

stronach, urzędach i instancjach decyzja natychmiastowego wprowadzenia nazw polskich.

Polskich, ale jakich? Były więc takie osady, których nazwy polskie były dość żywe wśród Polaków miejscowych, i gdy tylko lokalna władza chciała, mogła je mieć bez trudu. Były takie, których polskość widziało się, ale potrzebny był wysiłek rekonstrukcyjny, przy czym nie mogło się obyć bez pewnych błędów, gdy rekonstruktorem był laik. Wreszcie były osady, których nazwa polska była do odszukania tylko z trudem w specjalnych źródłowych wydawnictwach. Te trzeba było chrzcić. Z pomocą administracji zdążali uczeni, czasem pseudouczeni pośpiesznie, a więc z błędami w wypuszczonych drukach. Trzeba przyznać, że na ogół administracja skwapliwie z nich korzystała. Bieda była w tym, że owe podręczniki zawierały tylko część nazw, a nadto różniły się między sobą, i to nieraz gruntownie. Należało wybierać, a wybór był czasem szczęśliwy, czasem nieszczęśliwy. Chrzty zaś swoją drogą były konieczne. Namnożyło się dziwactw co niemiara, chcę jednak uszanować dobrą wolę twórców i nie będę szukał łatwych sukcesów przez ich wyśmiewanie.

Szło jednak nie tylko o to, jak nazwać, ale kto ma nazwać. Sama osada, starosta czy wojewoda? Bywało i tak, i tak, co przy trudnościach komunikacyjnych było dość zrozumiałe. Największe niebezpieczeństwo wyszło bodaj od poczty i kolei, te bowiem z konieczności musiały być zorganizowane od góry, planowo. Ta tedy góra, tzn. dyrekcje ponazywały stacje kolejowe i urzędy pocztowe na własną rękę, czyli ta sama miejscowość mogła posiadać aż trzy nazwy: starościńską, kolejową i pocztową, a jak nie trzy, to przynajmniej dwie, a każda z tych instytucji w razie sporu zapewniała Komisję, że tylko jej nazwa jest „powszechnie przyjęta”. Gdzie doradcą mógł być przewodnik w rodzaju Skorowidza nazw śląskich Wrzoska, tam zamieszania było mniej, ale było. Stąd to miasto Wałbrzych nie miało żadnej stacji swojego imienia; jakkolwiek jest obsługiwane bodaj przez trzy. Stacja w Kamienniej Górze nazywała się Ziemskim. Znana mi osobiście Polanica zwała się pierwotnie po starościńsku Puszczyków, ale stacja była Wrześniów. Bywało i tak, że dwa różne wydawnictwa kolejowe tę samą stację rozmaicie nazywały. Nie dziwnego, że z terenu zaczęły do centrum Polski dochodzić alarmujące głosy i niezbędna się stała porządkująca, nadrzędna interwencja.

Niewiele osób zdawało sobie sprawę z tego, że nadawanie i zmienianie nazw jest czynnością ustawowo zastrzeżoną specjalnej instytucji, którą przed wojną była Komisja Ustalania Nazw Miejscowych przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ta komisja przez kilka lat działała, zajmując się kontrolą nazw na terenie państwa, ponieważ w czasie zaborów niektóre z nich uległy skazaniu. Ona również dawała zgodę na zmianę nazwy, o co niekiedy mieszkańcy prosili, zwłaszcza gdy nazwa była ośmieszająca (np. Parszywka na Orkanów; zabieg ten sam, co przy ośmieszających nazwiskach). Rzecz jasna, że dla tej komisji nadeszła teraz pora do działania; trzeba było jednak o niej władzom przypomnieć i o wskrzeszenie przynaglić. Już wiosną 1945 r. (zdaje mi się, że w maju) zwróciła się Polska Akademia Umiejętności z propozycją współpracy. Po kilku miesiącach nadeszła zgoda i można było przystąpić do pracy. Zwłoka tym została wywołana, że trzeba było rzecz uzgodnić między kilkoma zainteresowanymi ministerstwami, przede wszystkim z Ministerstwem Ziemi Odzyskanych, które na tym terenie ma kompetencje także Ministerstwa Administracji.

Ułożono następujący plan pracy. Zorganizowano trzy komisje ściśle fachowe. Dwie z nich, opracowujące nazwy dla Śląska i Pomorza Mazurskiego, działają w Krakowie, trzecia w Poznaniu, w Instytucie Zachodnim opracowuje nazwy Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego. Wchodzą do nich językoznawcy, historycy i geografowie. Rzeczą historyków jest zebranie z dokumentów dawnych polskich nazw, rzeczą językoznawców jest poprawna rekonstrukcja nazwy, ponieważ zwykle zapisy są w nieudolnej ortografii, a nadto jeszcze nieraz na niemiecki sposób przekręcone. W ten sposób naukowo przygotowany materiał przechodzi przez Komitet Geograficznych Nazw P. A. U., a następnie podawany jest do aprobaty Komisji w Warszawie. Wchodzą do niej już nie sami uczeni, lecz delegaci kilku zainteresowanych ministerstw (Komunikacji, Zdrowia, Obrony Narodowej i oczywiście Administracji Ziem Odzyskanych) i delegaci lokalnych instytutów naukowych (Zachodniego i Śląskiego). Taki skład ma zabezpieczyć przed czysto biurkowymi, nie związanymi z potrzebami praktycznego życia wnioskami uczonych, ale oczywiście działającymi na tempo pracy).

Od lutego 1946 r. zbiera się co pewien czas Komisja w Warszawie dla rozpatrzenia wniosków komisji regionalnych. Najpierw uchwalono nazwy miast powiatowych, w ogóle większych miast, uzdrowisk w związku z nadchodzącymi wakacjami, potem kolejno stacji kolejowych, miasteczek, większych gmin, pozostają mniejsze gminy i osiedla nie będące samodzielnymi gminami. Prace trwają długo, ponieważ itazw jest ogromna ilość. Nazwy uchwalone ogłasza się następnie w „Monitorze” i od tej pory nikomu nie wolno miejscowości nazywać inaczej. Tak jest przynajmniej w teorii, ale praktyka jest niestety zupełnie inna.

Jak widzimy, każda nazwa, zanim zostanie ustalona, podlega bardzo dokładnej i kompetentnej kontroli, zdawałoby się więc, że decyzja powinna być przez społeczeństwo przyjęta z pełnym zaufaniem i prędko, tymczasem tak nie jest. Wymaga to wyjaśnienia. Po pierwsze, wiele zła narobiły różnice zdań zachodzące między fachowcami. Typowym przykładem jest sprawa Nisy — Nysy. Wprawdzie był to jedyny wypadek, że „dyskusja między fachowcami” w komisji przeniosła się do druku, ale w oczach publiczności cała akcja została ośmieszona, zaufanie do komisji podkopane, co dało z kolei zachętę do „dyskusji” i w innych wypadkach.

Te „inne” to były wypadki, że nazwa, doraźnie przez administrację wprowadzona, została dziwnie ukochana przez lokalny patriotyzm. Wtedy miejscowe rady narodowe, zarządy zdrojowe itd. występowały z protestami i bojkotowały ogłoszenia „Monitora”, może sobie nawet nie zdając sprawy z tego, że ich akcja ma w istocie charakter antyustawowy. Argumenty ich były różne. Jedna seria miała wygląd nieco naiwnego patriotyzmu. Tak zwalczano Prudnik i Głóbczyce, których „u” świadczy o wpływach czeskich na tym terenie. Komisja zaś zatwierdziła te nazwy, ponieważ tak były stale używane przez Polaków miejscowych i w pracach polskich uczonych, o czym doskonale każdy wie, nic by więc wkładanie głowy w piasek nie pomogło, nie mówiąc już o tym, że o układaniu się stosunków sąsiedzkich decydują inne argumenty.

Druga seria — to dbałość o dobro osady. Tak utrzymał zarząd uzdrowiska nazwę Kudowa, która jest niemiecką przeróbką czeskiej Chudoby.

1) Por. K. Nitsch: *Pierwsze ustalone nazwy miejscowe ziem odzyskanych*. „Język Polski” XXVI, 118; B. Ostrowski: *Odnimczanie nazw miejscowości na ziemiach odzyskanych*. „Gazeta Administracji” XXIV, 135.

Zarząd źródła oświadczył jakoby, że do Chudoby czy Chudobie nikt nie przyjedzie, a do Kudowy cały świat. Ponieważ uchwała nie była ogłoszona w „Monitorze“, została zmieniona po myśli zarządu. Co prawda, argument pozorny, bo według niego to byśmy musieli zmienić Warszawę na Warszaw czy Varsovie, Kraków na Cracovie itp. Mogła sobie zagranicą używać formy Kudowa, a na wewnątrz mogła być niezniemczona Chudoba. Następnie pacjenci kierują się nie nazwą, lecz jakością wód i urządzeń. Ale mniejsza o to; rzecz została zdecydowana i jest spokój, a to najważniejsze. Podobnie ustapiono Karpaczowi, nazwie, która ma budzić w turystach wrażenia krępkości, rzeźkości i tym podobnych miłych rzeczy. Nie miały tego szczęścia Solice, przezwane urzędowo na Szczawno. Historia była taka. Do grupy krakowskiej zgłosił się raz wybitny balneolog, aby językoznawców poinformować o jakości śląskich wód mineralnych i podsunąć stosowne nazwy. Otóż w tych nieszczęsnych Solicach tryska nie solanka, lecz szczawa, toteż uradzono, że nada się nazwę Szczawno na wzór naszej Szczawnicy. Jakoż nadano, ale nie spodobało się to zarządowi źródła, który rozpoczął energiczną kontrakcję. Powołał się na utarcie się nazwy, na tradycję, na historię. W istocie nazwę Solice ukuł 47 lat temu Mycielski, autor spisu nazw polskich na Śląsku, tłumacząc w ten sposób niemiecki Salzbrunn. 45 lat żył sobie ten nowotwór spokojnie w zaciszu książkowym, nie marząc o tym, że będzie obiektem bezkrwawej, ale żąciętej walki. Bronił Solice dr Szyperski w „Śląsku“ coś dwa razy, zwalczał je prof. Taszycki w tymże „Śląsku“ i w „Dzienniku Polskim“, podpisany w „Języku Polskim“ i z pewnością nie na tym koniec. Najciekawsze jest to, że lokalne władze drwią sobie z rozkazów centrali i choć Szczawno ogłoszono wiosną ubiegłego roku, wciąż jeszcze trwa w użyciu nazwa Solice. Wprawdzie jest sztuczna, wprawdzie kalka z niemieckiego, wprawdzie niezgodna z rodzajem wód, ale żywot ma twardy.

Tradycja, zadowolenie się nazwy było zwykle przez komisję szanowane. Największy wyłom zrobiono na Pomorzu Mazurskim. Tradycja przekazała nam tam obok wielu powierzchniowych spolszczeń dużą ilość nazw na - bork, będących spolszczeniem niemieckich burgów, a więc Wartembork, Ządzbork itp. Część komisji była zdania, że nie należy pozostawić tych śladów krzyżackiej przemocy, i to zdanie przeważyło. Równocześnie padła myśl, aby w nazwach upamiętnić nazwiska ludzi zasłużonych około polskości tego terenu. Stąd nazwano Ządzbork Mrągowem (na cześć słownikarza Mrągowiusza), Lec (Lötzen) Giżyckiem na cześć Gizewiusza, Rastenburg Kętrzynem na cześć Kętrzyńskiego, historyka i badacza nazw tej ziemi. To pociągnięcie komisji wywołało ogromne oburzenie. Naruszono tradycję! Szczególnie broniono Łuczana nazwanego Giżyckiem. Tradycja w tym wypadku była osobiwa. Niem. Lötzen (w pracach polskich najczęściej Lec) przerobiono sto lat temu na Łoczany, a Kętrzyński „spolszczył“ to dalej na Łuczamy. Tak mało to było znana nazwa, że jej nie ma w „Słowniku Geograficznym“, gdzie jest Lec i Łoczany. Specjaliści od nazw w komisji znali doskonale całą historię, toteż nie mieli skrupułów w odrzuceniu tej „tradycji“, tymczasem mieszkańcy, wszystko przybysze, wierzyli święcie, że brutale i nieuki z Krakowa i Poznania wprowadzili jakieś osobliwe Giżycko. Borków nie śmiano oczywiście tak otwarcie bronić, jakkolwiek i z powodu nich były kwasy.

Na przeciwnym biegunie stali krytycy, którzy gardzili tradycją, a byli za tym, aby nazwać jak bądź, a najlepiej pozostawić to, co wprowadził starosta lub

kolej. Włączali tu nawet te miejscowości, co posiadały niegdyś nazwę polską. Na to nie mogła się oczywiście zgodzić Komisja, bo cóż by były, za nasze ziemie macierzyste, gdybyśmy nawet nie wiedzieli, jak się ich osady nazywały. Słusznie by mogli sobie z tego Niemcy pokpiwać. Szczególnie zaś nie można było się zgodzić na pierwszą lepszą nazwę tam, gdzie jeszcze siedzieli niezniemczeni Polacy, używający tradycyjnych polskich nazw. Dlatego nie dało się zachować takiej Nowej Naprawy, przyniesionej przez sympatycznych osadników z Naprawy pod Jordanowem, ponieważ należało uszanować nazwę Lubsza, pieczolowicie zachowaną przez tamtejszych Polaków. Wszak nie mogliby oni zrozumieć, dlaczego rządy polskie rozpoczęto od wyrzucenia starej polskiej nazwy. Byłaby to jeszcze jedna krzywda wyrządzona im w powojennym chaosie.

Pewne trudności wynikły na tle regionalnych różnic językowych. Faktem jest, że dawni Pomorzanie, choć mówili językiem niesłychanie podobnym do polskiego, posiadali jednak pewne odrębności. Najbardziej bijącym w oczy była wymowa gard zamiast ogólnopolskiego gród. W rezultacie powstały na Pomorzu nazwy takie jak Stargard i Białogard zamiast nowopolskich Starogród, Białogród. Komisja miała więc do wyboru albo wprowadzić formy nowopolskie, albo uszanować dawne pomorskie. Wybrała to drugie. Publiczność, nie orientująca się w tych subtelnościach, oburzała się, że pielęgnuje się niemieckie dziwactwa, gdy tymczasem w intencjach Komisji było uszanowanie tradycji i dzielnicowych odrębności.

Jak widzimy, byłoby znacznie mniej przykrości, gdyby wśród społeczeństwa było więcej zaufania do uczonych, którzy decydują się na pewne pociągnięcia po starannej rozprawie, skontrolowanej w dodatku przez praktyków. Tymczasem krytycy zamiast zwrócić się publicznie po wyjaśnienia, do czego każdy ma prawo, zaczynają od razu od gwałtownych i nieraz bardzo przykrych napaści na ludzi, którzy dla publicznego dobra poświęcają swoją wiedzę i czas. Jest to jedna z cech naszego społeczeństwa, że każdy uważa się za przygotowanego do nieprzebierającej w słowach krytyki cudzej pracy, na której w swoim wyobrażeniu zna się z bożej łaski a bez nauki.

A może społeczeństwo jest za mało informowane, zapyta ktoś. W tym istotnie coś jest. Komisja ogranicza się zwykle do krótkiego komunikatu, gdy nieraz potrzebne by były długie wywody. Sami uczeni zabierają głos tylko w sprawach szczególnie ważnych, wymagających naukowego uzasadnienia. Dzieje się to zwykle w jakimś poważniejszym periodyku, który z racji tej powagi nie jest czytany przez szersze koła społeczeństwa. Jedynym wyjściem byłoby chyba stworzenie przy komisji komórki propagandowej, która by pozostawała w ciągłym kontakcie z prasą i urabiała opinię w pożądanym sposób.

Trafia się nagminnie zarzut, że Komisja jest w swoich decyzjach chwiejna — taka i owaka miejscowość zmieniała nazwę już dwa i trzy razy. To zarzut póżbawiony wszelkich podstaw. Nie zdarzyło się ani razu, aby cofnięto ogłoszoną już nazwę, a nawet do wielkich wyjątków należało unieważnienie uchwały przed jej ogłoszeniem. Takie unieważnienie było możliwe, ponieważ bez ogłoszenia nie była uchwała jeszcze obowiązująca. A więc na rachunek Komisji może iść tylko jedna zmiana, wszelkie nadliczbowe — to już „prywatna inicjatywa”. Mogło się np. zdarzyć, że gdy inna była nazwa administracyjna, a inna kolejowa, którąś wycofano bez zgody Komisji, a potem dopiero wprowadzono jako trzecią — nazwę komisyjną. Stąd zamieszanie. Tak było z Polanicą. Zanim do wiadomości kolej doszła nazwa komisyjna Polanica, zmieniono nazwę stacji Wrześniów na Puszczyców, zgodnie z nazwą administracyjną,

starościńska. Zaledwie to zrobiono, zarząd gminy na polecenie komisji nazwał się Polanicą. Kolej tym razem ociągała się z nową zmianą. Nawet konduktor kolejowy oświadczył pasażerowi: „a ja jednak wywołam Puszczyno, bo to mi się bardziej podobał”. I rzeczywiście tak wywołał.

Niemale zmartwienie jest z drogowskazami. Na dziesiątki kilometrów przed osadą gloszą one jej nazwę. Gdy się nazwa zmieni, trzeba je zmienić. Prawie zawsze się zapomni o jednym i drugim z nich, co ściąga przekleństwa automobilistów. Oczywiście trzeba zmieniać pieczęcie gmin, stacji kolejowych, urzędów pocztowych itd. Urzędnicy wiedzą, co to za ból. Trzeba to mieć w preliminarzu, zamówić gdzieś tam w centrali, czekać tygodniami a może miesiącami.

W marcu mieliśmy 8.461 nazw ustalonych, w tym wszystkie osady powyżej 250 mieszkańców w 1939 r., wszystkie stacje i przystanki kolejowe, wszystkie uzdrowiska. Od tego czasu z pewnością ich przybyło. Ponieważ wszystkich nazw jest kilkadziesiąt tysięcy, będzie potrzeba jeszcze dłuższego czasu na przemelcie wszystkiego. Niewątpliwie pójdzie praca teraz szybciej, ponieważ małe miejscowości nie będą wywoływały takich dyskusji jak większe. Prace przygotowawcze w lokalnych komisjach są od dawna ukończone. Np. nazwy gmin śląskich były już gotowe w lutym 1946 r. Musi potem przyjść także rewizja nazw rzek, gór, lasów itp.; prace już są w toku, przy czym nazwami górskimi zajmuje się Polskie Towarzystwo Tatrzzańskie, działając w porozumieniu z Klubem Czeskich Turystów, idzie bowiem o uzgodnienie nazw na pograniczu, w czym obie strony są zainteresowane.

Przeżywamy więc operację dość bolesną, ale potrzebną. Dzięki niej odżyją na Ziemiach Odzyskanych nazwy piastowskie i usunięte zostaną ślady niemieckich akcji kolonizacyjnych. Zlikwiduje się wiele dziwactw, często rażąco sprzecznych z duchem języka polskiego, które się zrodziły w pierwszym pośpiechu. Nauka zaś polska odniesie jedną wielką korzyść. Mianowicie dzięki pracy krakowskiej grupy historyków i językoznawców wydobyło się z dawnych dokumentów i zrekonstruowało pieczołowicie wszystkie polskie nazwy na Śląsku, jakie tylko zostały utrwalone w piśmie. Cały ten wielki zbiór (sporządzony z wydatną pomocą finansową Instytutu Śląskiego) zostanie ogłoszony pod firmą Polskiej Akademii Umiejętności. Będzie to spis wszystkich miejscowości Śląska Dolnego i Opolskiego, zawierający wszystkie dokumentarne zapisy oraz dzisiejszą ustaloną nazwę. W ten sposób rekonstrukcje zostaną poddane pod publiczną krytykę, a co ważniejsze, językoznawstwo i historia osadnictwa na Śląsku zdobędą źródło o wielkim znaczeniu. Pomorze Szczecińskie ma coś podobnego w Atlasie ks. Kozierowskiego. Śląsk jednak będzie górował, bo zapisy będą w większym komplecie, a rekonstrukcja językowa bardziej fachowa (nie jest przecież ks. Kozierowski lingwista). Niewątpliwie analogiczne dzieło da nam Poznań dla Ziemi Lubuskiej, ale niestety nie rozporządza ten teren takim zasobem dokumentów od czasów najdawniejszych jak Śląsk.

Zatem — więcej zaufania, więcej dyscypliny społecznej i więcej cierpliwości powinno towarzyszyć naszej akcji zmierzającej do uporządkowania nazw miejscowych.